



**You have downloaded a document from  
RE-BUS  
repository of the University of Silesia in Katowice**

**Title:** "Super flumina Silesiae Superioris..."

**Author:** Mariusz Jochemczyk

**Citation style:** Jochemczyk Mariusz. (2013). "Super flumina Silesiae Superioris...". W: M. Jochemczyk, M. Piotrowiak (red.), "Urzeczenie : locje literatury i wyobraźni" (S. 145-157). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIWERSYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

Mariusz Jochemczyk  
Uniwersytet Śląski w Katowicach

## *Super flumina Silesiae Superioris...*

Gdziekolwiek wędrowałem, po jakich kontynentach,  
Zawsze twarzą byłem zwrócony do Rzeki<sup>1</sup>.

C. Miłosz: *W Szetejniach*

### 1.

Być twarzą „zwróconym do Rzeki” znaczy tyle, co „być odwróconym plecami do Świata”. Wybór między chybottliwym „eksterytorialnym” żywiołem Rzeki a twardą egzystencją „na Kontynencie” jest zawsze wyborem ostatecznym. Człowiek mieszkający „na brzegu rzeki” (lub na niej samej) zdaje się zachowywać wyraźną odmienność od tego, który żyje od tej rzeki w pewnym oddaleniu. Wedle mądrej lekcji Czesława Miłosza, zaczerpniętej z powieści mającej imię wodnej nimfy w tytule, każda rzeka ma „właściwości wpływające na usposobienie ludzi, jacy się rodzą nad jej brzegami”<sup>2</sup>. Wtórjuje mu Horst Bienek wpatrzony w ciemne nurty rzeki — w owo „czarne zwierciadło” wspomnień, wywołujące najodleglejsze powidoki dzieciństwa. I nieprzypadkowo od obrazu płynącej wody rozpocznie swe enumeracyjne ciągi pierwszych, „Adamowych” wtajemniczeń:

Dzieciństwo jest jak palimpsest. Odnajduje się obrazy, słowa, fragmenty. Nie wie się już jednak dokładnie, do czego one należą. Wiem tylko, że tutaj w krajobrazie, gdzie wyrosłem, odnalazłem

---

<sup>1</sup> C. Miłosz: *Na brzegu rzeki*. Kraków 1994, s. 75.

<sup>2</sup> C. Miłosz: *Dolina Issy*. Kraków 1989, s. 9.

pierwsze chyba właściwe słowa, że nazwałem nimi rzeczy i świat, zdobywając je dla siebie. Woda nie była po prostu wodą, lecz strumieniem, potokiem, strugą, bajorkiem, stawem, jeziorem, rzeką. Nie były to zwykłe kamienie, lecz krzemień, bazalt i granit. I nie same drzewa tu rosły, ale nazywały się one buki, dęby, lipy, kasztany, sosny. I nie kwiaty tu rozkwiwały, lecz astry, georginie, cynie, płomyki i modrzeńce. Językiem zdobywałem dla siebie świat<sup>3</sup>.

Być może owo językowe zdobycie rzeczywistości każe Bienkowi tak chętnie wchodzić do wiecznie wysychającej rzeki pamięci, gdzie zmęczony życiem umysł brodzi w migotliwej materii minionego: płynne „chętnie wspomina wspomnienie”<sup>4</sup>.

Delikatne frazy Bienka pozwalają wysnuć także inny wniosek: macierzyńskie energie meandrującej wody („w krajobrazie, w którym się wyrasta”) wydają na świat zwykle byty do-rzeczne: rozumne, empatyczne i gościnne (doświadczył tego każdy wioślarz podróznik!). I dla odmiany (tego Bienek już nie sugeruje): zapobiegliwe bóstwa chtoniczne rodzą zbyt często człowieka niedo-rzecznego, nastrojonego egoistycznie — kolonizatora. Wielki fenomenolog rzeki Henry David Thoreau pisał w swoim *Dzienniku*: „Jeśli chodzi o rzekę, to tam właśnie najmniej pogwałcone są moje prawa. Tu utrzymał się jeszcze rozległy obszar wspólnotowy (*common*)”.

„Życiodajna natura” (uosobiona w żywiołach rzeki), „pogwałcone prawo”<sup>5</sup> i „braterska wspólnota” — cóż lepiej (przenieśmy rozważania w lokalny kontekst śląski) opisuje bermudzki trójkąt ekonomiczno-ekologicznych silesialnych napięć niż ta triada metaforycznie podrasowanych pojęć? Niech nie zwiedzie nas stereotypem ugruntowane przekonanie, że „naturalnym bogactwem Górnego Śląska” były i są wyłącznie kopaliny: węgiel i rudy metali, a przeznaczeniem — nadludzki wysiłek pracy, żarliwa modlitwa oraz półmrok szynkwasu i alkowy<sup>6</sup>.

---

<sup>3</sup> H. Bienek: *Brzozy i wielkie piece. Dzieciństwo na Górnym Śląsku*. Przeł. W. Szewczyk. Gliwice 1991, s. 6.

<sup>4</sup> Ibidem.

<sup>5</sup> Wszystko jedno, czy będzie to naruszone prawo Natury (ekstensywna gospodarka rabunkowa), czy pogwałcone prawo ludzkie (wyzysk).

<sup>6</sup> Najlepiej obrazuje problem „śląskiego minimalizmu” arystokratyczna mowa hrabiego Poremby, bohatera gliwickiej tetralogii Bienka: „Wiem, że tutejsi ludzie są najlepszymi robotnikami, jakich można [...] znaleźć. Kopalnia, knajpa, kościół i łóżko, to są cztery filary górnośląskiego królestwa niebieskiego, albo mówiąc drastycznie: pracować, chlać, modlić się i dupczyć”. Por. H. Bienek: *Wrześniowe światło*. Przeł. M. Podlasek-Ziegler. Gliwice 1994, s. 281.

## 2.

Przytłoczeni brzemieniem stereotypu współcześni (i dawni) Ślązacy zapomnieli zdaje się, iż fluwialne metafory zarządzają żywiołami ich życia równie skutecznie, jak opowieści o gorączkowo wydobywanym „czarnym złocie”, spijanej „gorzałce” i „nieutulonych chuciach”. A prawo metafory jest prawem twardym i równie niewygodnym, jak prawo kształtujące los (post)industrialnego wyrobnika; tym boleśniejszym, że dotyczy sfery tak intymnej, jak mowa ojczyzna. Oddajmy głos przybyszowi, który zawsze sprawy widzi lepiej i wyraźniej:

Językiem tych ludzi [Ślązaków — M.J.] niepewnych pod względem narodowym, bo nie w pełni świadomych swojej nacji, była mowa śląska, pogardliwie nazywana przez władze niemieckie wodnopolską<sup>7</sup>.

Nieco dalej — w przypisowej uwadze — rozwinie Karl-Markus Gauß wątek tej stygmatyzującej, niewątpliwie pogardliwej, akwatywicznej frazeologii:

Już w drugiej połowie XIII wieku niemieccy osadnicy przybywający na Śląsk nazwali rdzenną słowiańską ludność tych terenów „Wasserpolen”, w późniejszych wiekach utworzono od tego nazwę na mowę mieszkańców tych ziem „Wasserpölnisch Mischsprache” (wodnopolski język mieszany)<sup>8</sup>.

Odium dawnej inwektywy spada na tyle celnie, że do dzisiaj — jakże niezasłużenie! — status mowy śląskiej pozostaje bliżej nieokreślony: „mętny i wodnisty”. Jest taki, choćbyśmy nie wiem jak czule poszukiwali ukrytych walorów tego (przeciekającego od lat przez rzeszota kodyfikatorów i przesiąkającego przez rubryki zalęknionych lingwistów) lepkiego wolapiku. Nawet wzniosłe etymologie nie usuną wątpliwości tych, którzy tak chętnie odmawiają Śląskowi logosu:

Samo pochodzenie tego terminu [przypomnijmy: „Wasserpölnisch” — M.J.] nie zostało do dzisiaj jednoznacznie potwierdzone, istnieje wiele teorii na ten temat: jedna z nich mówi o fli-sakach przyplływających rzeką Odrą od wschodu do Wrocławia,

<sup>7</sup> K.M. Gauß: *W gąszczu metropolii*. Przeł. S. Lisiecka. Wołowiec 2012, s. 175.

<sup>8</sup> Ibidem, s. 175—176.

posługujących się własnym dialektem. Inna nawiązuje do plemienia Kwadów, zamieszkujących do ok. V wieku tereny pogranicza Śląska i Moraw, a od którego prawdopodobnie pochodzi nazwa: „quadico-polonica” — być może później została ona omyłkowo zapisana jako „a-quadica”, a stąd już blisko do łacińskiego słowa „aqua”, czyli woda — wasser: „haec dialectus aquatico-Polonica vocatur”<sup>9</sup>.

Dla krzepkich przedstawicieli „policji językowej” mowa ludu górnośląskiego zawsze już będzie tylko — pozostańmy w kręgu akwaticznych metafor — kakofonicznym szemraniem, lichym pluskiem, stęchłym gulgotaniem. Jakąś dziwną *lingua barbaria*... I tak już z górą od stu lat — przynajmniej od czasu, gdy nacjonalizm stał się argumentem cenionym w domenie publicznej:

Kiedy w XIX wieku nacjonalizm stał się zjawiskiem historycznym i jako ładunek ideologiczny modernizacji wyeksportowano go również na Śląsk, niemieccy narodowcy i ich rywale, polscy narodowcy, zaczęli w jednakowej mierze uważać tę mowę za nieczystą mieszaninę, którą należało oczyścić etnicznie przy zastosowaniu metod policji językowej. Dlatego też język używany przez dwa lub trzy miliony Ślązaków nazwali „wodnopolskim”. Obłożyli go zatem klątwą jako swego rodzaju „rozwodnioną polszczyznę”, przed którą trzeba chronić zarówno Niemców, jak i Polaków<sup>10</sup>.

Polityczna alchemia na usługach ideologicznego *opus* — każe skutecznie destylować śląską mowę: z „nieczystej” mieszaniny fonemów w „rozwodnioną” breję (słów). I nieważne, czy rachmistrz spisowy przychodzi odebrać deklarację językowej lojalności w roku 1910 czy 2010<sup>11</sup>.

<sup>9</sup> Ibidem, s. 176.

<sup>10</sup> Ibidem, s. 176—177.

<sup>11</sup> Epidemiczny, wampiryczny charakter „języka” śląskiego (przypomnijmy: to medium, „przed którym trzeba chronić zarówno Niemców, jak i Polaków”) każe widzieć go jako „twór” niebezpieczny: „[...] tej przeklętej śląskiej mowy — »ślonskiej godki« — nie mógł wybrać nikt pytany w 1910 roku o językową przynależność do narodu niemieckiego czy polskiego”. K.M. Gauß: *W gąszczu metropolii...*, s. 177.

## 3.

Nie pamiętają też współcześni Ślązacy (zerwawszy już dawno więzy z domeną-tego-co-najbliższe, z praktyką holistycznie pojętej eko-logiki, ze świętym „duchem miejsca”), że szacunek dla płynącej wody jest jedną z najwyższych powinności ludzkich. Kto obraża świętego Acheloosa, „ojca wszystkich nimf” — ten skazuje się na zagładę. Sprzeniewierza się bowiem starej tradycji *pontifices* — tych, którzy dbali o przychylność boga wód:

Najlepszym dowodem czci okazywanej rzekom i lęku przed samowolnym zakłócaniem ich życia jest nazwa rzymskich kapłanów: *pontifices*. Wyraz ten jest złożony z dwóch części: *pons*, czyli most (spokrewniony z prasłowiańskim: *put*, droga, stąd i nasz pątnik) oraz *facere*, to jest: czynić, wykonywać. Był więc *pontifex* tym, który sprawuje nadzór nad budową mostów, oczywiście nie w sensie technicznym, ale religijnym i rytualnym. To on czuwa, by nie zostało urażone bóstwo rzeki, on sprawia mu ofiary. Najstarszy rzymski most łączący brzegi Tybru został zbudowany wyłącznie z drewna, bez jakichkolwiek elementów żelaznych, aby nie zranić rzeki<sup>12</sup>.

Kogo moglibyśmy dziś określić mianem: *Pontifex Maximus Silesiorum*? Kto żyje tak, by „nie zranić rzeki”? Kto jeszcze może — za Lojzkiem Lapaczkim — powiedzieć w skupieniu: „Most nade mną był cichy”<sup>13</sup>? A przecież truizmem jest przypominać, że już przed wiekami rzeczne trakty determinowały lokalizację podstawowych obiektów na mapie górnośląskiego życia — np. miast<sup>14</sup> czy

<sup>12</sup> A. Krawczuk: *Rzeczni bogowie starożytnych Greków i Rzymian*. W: *Rzeki. Kultura, cywilizacja, historia*. T. 7. Red. J. Kołtuniak. Katowice 1998, s. 104.

<sup>13</sup> O. Filip: *Wniebowstąpienie Lojzka Lapaczka ze Śląskiej Ostrowy*. Przeł. J. Stachowski. Warszawa 2005, s. 251.

<sup>14</sup> Ilu z dzisiejszych mieszkańców np. Katowic potraktuje miejscowe nazwy ulic (Wodna, Stawowa) czy dzielnic (Zawodzie) inaczej niż tylko jako konwencjonalne formy oderwane znaczeniowo od rzeczywistości? Ilu zignoruje proste fakty: „Miasto bez rzeki wygląda nienaturalnie. Historia cywilizacji pokazuje, że miasta przeważnie rozwijały się nad wodami, a szczególnie nad rzekami. [...] Nie inaczej było z Katowicami, które rozwinęły się w miejscu, gdzie pierwotnie stała Kuźnica Bogucka nad rzeką Rozdzianką (jak dawniej nazywano dzisiejszą Rawę). Potem w pobliżu kuźnicy stanęła karczma i tak to się zaczęło. W błyskawicznym rozwoju miasta na przełomie XIX i XX wieku rzeka była stale obecna. Niebieską wodę z Rawy znajdujemy nawet w herbie miasta”. Zob. J.F. Lewandowski: „*Marzy mi się kaskada między Korfante-go i Bankową*”. „Gazeta Wyborcza” z 3.11.2010.

lokalnych ośrodków metalurgicznych<sup>15</sup>. I dopóki szanowano rzeki — człowiek szanował siebie i drugiego. Doskonale wiedział ów człowiek, iż — cytuję autora *Die Flottenparade* — „miasto, przez które płynie rzeka, stopione jest z okolicznym krajobrazem” integralnie. Tak, że „nie oddziela się od niego bez reszty”<sup>16</sup>.

#### 4.

Wreszcie ci, którzy jak myślę — doskonale wiedzą, jak sprawy się mają i dlatego też dręczą ich wyrzuty sumienia, dyskretnie „ukrywają” (by nie rzec: upychają) rzeczny żywioł (dzisiejszego i wczorajszego) Górnego Śląska w podziemnych lochach, czyniąc z dawnych krynic cuchnące i budzące lęk inferna Flegetonu: „Rawa płynie przez śródmieście Katowic, a właściwie pod nim, co zawsze mnie dziwiło i przerażało<sup>17</sup> — powie Aleksander Nawarecki, a jego zdziwienie i przerażenie nie jest (rzecz jasna) odosobnione. Przywołajmy dla odmiany relację z innej „egzekucji rzecznej” dokonanej na geograficznej sukcesorce Rawy — Czarnej Przemszy:

---

<sup>15</sup> O roli rzeki w narodzinach nowożytnej sztuki hutniczej najefektowniej (bo poetycko!) pisze chyba Walenty Rożdżeński: *Officina ferraria abo huta i warstat z kuźniami szlacheznego dzieła żelaznego*. Oprac. R. Pollak, M. Radwan, S. Rospond. Wrocław 1962, 85—97.

<sup>16</sup> H. Niekrawietz: *Miasto dzieciństwa*. W: Idem: *Złoty klucz. Opowiadania i poezje opolskie*. Przeł. A. Lam. Opole 1999, s. 9. W podobnym duchu odnosi się do — jednoczącego różnorodne elementy kraj-obrazu — fenomenu rzeki Jacek Kurek: „[...] rzeka jest tajemnicą i przeznaczeniem wędrujących ku morzu. Jest darem. Ludzie poją w niej zwierzęta i z niej czerpią wodę. Własne odbicie znajdują w niej zawsze otoczone niebem. Rzeka jest zwierciadłem nieba. Dlatego do niej tęsknimy. Mieszkający po obu jej brzegach pokonują tę samą odległość, wychodząc sobie na spotkanie. Rzeka nie dzieli, łączy... Zbliżając się do rzeki, z każdym krokiem wyraźniej poznajemy to, co na nas czeka po jej przekroczeniu. A przekraczając ją, spotykamy innego, wchodzimy w jego świat — świat, który staje się naszym światem. Rośliny rosnące na brzegach rzeki są tych samych gatunków. Trwaniem przypominają o granicy jako przestrzeni spotkania i miejscu, które potrzebuje mostów. To rzekom ludzie zawdzięczają mosty. Mostom dar spotkania. Rzeka zbliża, a to, co w sobie mieści, sprawiedliwie czyni wspólnym”. Por. J. Kurek: *Na brzegu rzeki*. W: *Doświadczyć pogranicza*. Red. K. Konofał. Rydułtowy 2010, s. 37.

<sup>17</sup> A. Nawarecki: *Pod klopsztangą*. W: Idem: *Lajerman*. Gdańsk 2010, s. 11.

Po drugiej stronie mostu rzekę przykrywał betonowy dach, pod którym ginęła tajemniczo. Wpływała w ciemny tunel jak na stracenie. Jak na spotkanie swoich demonów<sup>18</sup>.

Zauważmy także, iż pierwszy przywołany przykład — starannie zamurowywanej Rawy, rzeki ciągnącej pierwotnie swój nurt od rudzkiego stawu Marcina aż po ujście w wodach Brynicy — stanowi tu *exemplum* nieomal instruktażowe. Procesowi dzisiejszej, niezwykle pożądanej i ogromnie spóźnionej, rewitalizacji rzeki towarzyszy (chciałoby się powiedzieć: na prawach resentymentu — „pamiętającego” czasy infernalnej, cuchnącej „światności”) niepokojący (bo równoległy) proceder jej coraz głębszego ukrywania w ziemi, uśmiercającego „pochowania” czy też doskonałego *nomen omen*: skanalizowania w kolektorach. Postulaty zaś przywrócenia rzece jej dawnego charakteru i światności pozostają właściwie bez echa<sup>19</sup>. Dziwne to tym bardziej, że uczonych mężów (i niewiasty) odpowiedzialnych za zarządzanie tzw. krajobrazem miejskim śląskich metropolii nie przekonuje nawet prosta językowa homonimia: aby rzekę odkryć, trzeba ją... odkryć. Może dlatego współcześni urbaniści górnośląscy (myląc homonię z tautologią) pozostają w tej kwestii becznyjni?

## 5.

Zresztą i tego wykluczyć nie sposób, iż rzeka — wpływając w municypalne rogatki — nie jest już nigdy przysłowiową „panią u siebie”. Może „od zawsze” ludzki świat *polis*, regulując jej życie-

<sup>18</sup> P. Wilczyński von Kurus: *Huta Będzin — baśń z tysiąca i jednej fabryki*. W: *Indunature*. Red. M. Doś. Bytom 2009, s. 50.

<sup>19</sup> Por. J.F. Lewandowski: „*Marzy mi się kaskada między Korfantego i Bankową*”... Tak tytułowe marzenie iści się w pragnieniu entuzjasty: „*Marzy mi się, żeby w ramach przebudowy centrum Katowic na odcinku od Sokolskiej do Bankowej Rawę nie tylko odsłonić, lecz także zbudować jej szersze koryto, jakie widać na dawnych pocztówkach. Marzy mi się, żeby płynęła niewiele poniżej poziomu ulicy, co oczywiście wymagałoby zbudowania kaskady, pewnie gdzieś między Korfantego i Bankową. Marzy mi się, żeby zobaczyć prawdziwą rzekę i nawet przejść nad nią mostem. Marzy mi się taka rzeka jak na pocztówkach sprzed stulecia. Czy jest to możliwe?*”. (Ibidem). W nieco innym kontekście (choć z nie mniejszym entuzjazmem!) o pożytkach płynących z bliskości lokalnej (tu: śląskiej) rzeki dla uniwersalnej refleksji pisze Tadeusz Sławek: *Antygona w świecie korporacji. Rozważania o uniwersytecie w czasach obecnych*. Katowice 2002, s. 109—113.



wy „bieg”, skazywał ją (lekkomyślnie) na los niechcianego gościa, kłopotliwego przybysza, natrętnego interesanta z prowincji. Ale w pięknej alegorii autora *Oderliede* przybiera rzeka postać skromnej „wieśniaczki, która nie ma w mieście ani chwili do stracenia”, lekceważona przez zajętych akumulacją kapitału mieszczan — spieszenie „bieży [...] na wolną przestrzeń”<sup>20</sup> łęgów i pól.

A może — po prostu — wywołani przed chwilą urbaniści nie wiedzą także tego, iż rzeka „ujarzmiona w betonie” zawsze już „to-czy swe wody ze zwodniczym spokojem”<sup>21</sup>: wciąż gotowa do zemsty i odwetowego potopu. Człowiek miasta zbyt zadufany w swą mądrość i moc inżynierskich rozwiązań lekceważy siłę żywiołu ujętą w betonowym korycie czy przewężeniu wałów. Zbyt łatwo zapomina swego respektu dla rzeki, będącej najczystsza ekspresją kumulowanej i rozładowywanej energii. Wspomina o tym Hans Niekrawietz, wielki śląski apologeta rzeki, w czasach gdy regulacja otwartych (pozamiejskich) cieków wody stanowiła jeszcze naruszenie podstawowych, świętych praw natury. W rozdziale swej przejmującej powieści *Wiatr od Odry*, we fragmencie o znamienym tytule *Wielka woda*, kreśli swoisty powodziowy dyptyk — obserwując krańcowo różne reakcje ludzi miasta i wsi (prowincji) na wiosenny wypływ wód. Jakże łatwo ci pierwsi — w optyce postronnego uczestnika zdarzeń: gimnazjalisty Paulka — wchodzi w rolę „bezmyślnych”, kierujących się „pustą ciekawością” i „żądzą niezwykłych wrażeń”<sup>22</sup> gapiów:

Na moście pełno było ludzi, którzy tłoczyli się przy żelaznej balustradzie [...]. Odra szalała i pieniała się, była potężnym wirującym nurtem, tak wysoko wezbranym, że tylko parę metrów dzieliło widzów od dziko pędzącej wody<sup>23</sup>.

Niekrawietz świetnie pokazuje, jak poczucie bezpiecznego zadowolenia w świecie, zbyt łatwe oswojenie „się” z nabytym dobrostanem istnienia, rodzi lekkomyślnego, wewnętrznie nieuważnego i niezaangażowanego człowieka. Ktoś taki już zawsze idzie przez

<sup>20</sup> H. Niekrawietz: *Miasto dzieciństwa...*, s. 11. Jak wiemy — to uwaga Horsta Bienka, podtrzymująca trop kobiecej alegorii — „dopiero we Wrocławiu” staje się Odra „kobietą z dobrymi manierami” — nabiera „ogłady” i traci swój prowincjonalny charakter. Por. H. Bienek: *Brzozy i wielkie piece...*, s. 16.

<sup>21</sup> H. Bienek: *Pierwsza polka*. Przeł. M. Przybyłowska. Przedmową opatrzył W. Szewczyk. Warszawa 1983, s. 91.

<sup>22</sup> H. Niekrawietz: *Wiatr od Odry*. Przeł. A. Lam. Posłowie J. Rostropowicz. Opole 2001, s. 241.

<sup>23</sup> Ibidem.

świat „suchą i pewną stopą”. Demaskacja patrycjuszowskiego gapiostwa następuje na brzegu rozszalałej, występującej gwałtownie ze swego koryta, rzeki:

[...] mieszkańcy miasta, którzy tylko jako widzowie kierowali ciekawym wzrokiem na tamten maszt [tonącego rzeczno statku — M.J.], czuli się zarówno bezpieczni zewnętrznie, jak wewnętrznie niezaangażowani — szli przecież po moście suchą i pewną stopą, a ich domów w śródmieściu powódź nie sięgała<sup>24</sup>.

Jakże odmiennie patrzą na „dziko pędzące wody” Odry ślascy plebejusze, owi portretowo kreśleni „wieśniacy nadodrzańscy”. Zaznajomieni z okrutnymi kaprysami rzeki od dziecka, nawet w obliczu „straszego nieszczęścia”, gdy „niejednemu [...] modlitwa więźnia w gardle”, ujawniają zadziwiające moce człowiecze: zdolność kontemplacji, podziw dla wzniosłego („spektakl natury”), empatię z bezosobowym („wodne szaleństwo”). Wróćmy jeszcze raz do zoobiektywizowanej narracyjnie impresji, wysłanego „do szkół”, chłopskiego dziecka:

Paulek nie był bezmyślnym gapiem. Nie kierował się pustą ciekawością ani żądzą niezwykłych wrażeń. Spędził może ledwie minutę na kontemplowaniu rozpętanego żywiołu, ze świadomością że nie tylko ogląda wielki spektakl natury, lecz, co ważyło bardziej, że to niesamowite wodne szaleństwo dotyka go bezpośrednio<sup>25</sup>.

Choć pozamiejskiej społeczności rolnych wyrobników towarzyszy rozpacz z powodu utraty lichego „majątku” i bezpowrotnego zatopienia przez wodny przybór całego dorobku życia, Niekrawietz ogniskuje uwagę czytelnika także na — dziwacznych z punktu widzenia zagrożonej ekonomii posiadania — jednostkowych aktach zachwytów i uniesień. To chwile, w których monstrualna rzeka, zabierając ludzi, zwierzęta, rzeczy i „urzeczając” człowieka (który — niczym żona Lota — „kamienie” w rozpaczce), wprowadza go w „trudny do określenia stan” ekscytacji. Stan, którego nigdy nie doświadczy, prowadzący „uregulowany” — zwracam uwagę na to „melioracyjne” słowo — i bezpieczny tryb życia, mieszczanin:

Hanek patrzy urzeczony, jak pęcherzyki wodne wydobywają się z dopiero co zatopionych kretowisk i nor, słyszy, jak tam coś bulgocze, mamrocze i wzdycha, krety jak czarne piłeczki wynurzają

<sup>24</sup> Ibidem, s. 242.

<sup>25</sup> Ibidem, s. 241–242.

się na powierzchnię i próbują się ocalić na suchym jeszcze gruncie, a potem zostają porwane i uniesione przez wodę, i tak samo wszystkie wystraszone zwierzęta na polach i łąkach.

Tak pełźnie [rzeka — M.J.] niepowstrzymanie coraz dalej, sama niczym zwierzę, potworne, z tysiącem ramion i głów, Siwa Mora, przed którą drży też człowiek, całe zaś stworzenie ogarnia chęć ucieczki. A jednak Hanek wyczuwa w tym wielkim i strasznym wydarzeniu także coś podniecającego, jakąś wzniosłość, osobliwy, trudny do określenia stan<sup>26</sup>.

„Wielki i straszny” spektakl natury wprowadza człowieka w „trudny do określenia stan” wzniosłego podniecenia, osobliwego rozdręganego. Obrazy anihilującego wszelkie istnienie wodnego żywiołu kłębią się w czeluściach podświadomości uczestników zdarzeń całe lata (ba! dziesięciolecia...), by wypłynąć nagle w spontanicznym gejzerze wspomnień. Identyczne niemal sekwencje „powodziowych reminiscencji” znajdziemy w powieściowym świecie Horsta Bienka. Wiosenna rzeka — tutaj Odra „podmieniona” zostaje przez własny dopływ: Kłodnicę — toczy bliźniaczo swe niszczące wody:

[...] w porze roztopów, była nieobliczalna, przybierała wówczas, rozlewała się po łąkach, po polach, deptała wszystko, rwała i huczała, wspinała się w górę pod mostami, wprawiając je w drżenie. A w owym roku piętnastym, nigdy tego nie zapomni, szła do sklepu ojca, zapadał już zmierzch, wtem zobaczyła z mostu potężną krę, płynącą po rzece, z dzieckiem na łodzie, tańczącym, na falach pienistej wody jak korek. Właśnie kra zniknęła pod mostem. Przebiegła na drugą stronę, wychyliła się daleko za poręcz, szukając kry, tam, tam, oczy jej nie myliły, trzy-, czteroletnie dziecko leżało na niej jak gąsienica, z rękami wczepionymi w lód. Nagle kra zniknęła w pienistej, rwącej wodzie, a gdy znowu się ukazała, dziecka już nie było, widziała jeszcze, jak kra dwukrotnie wynurzała się z wody, aż zniknęła w dali i zmierzchu<sup>27</sup>.

To przypomnienie wątku fabularnego *Pierwszej polki*, wprowadzonego kilka stron wcześniej — nie przez medytującą nostalgicznie Valeskę, lecz przez żywy dialog nastolatków, Josela i Andreasa:

— Powinieneś zobaczyć naszą starą zmęczoną Kłodkę, po roztopach, tak trochę za miastem, zalewa wtedy drogi, łąki i pola, zupełnie jak morze. Tak, ta mała rzeczka, którą tu przed chwilą

<sup>26</sup> Ibidem, s. 244.

<sup>27</sup> H. Bienek: *Pierwsza polka...*, s. 115.

widziałeś — Josel mówił teraz z naciskiem — zabiera sobie co roku kilkoro dzieci [...]»<sup>28</sup>.

Co ciekawe: historyczny, temporalny, nieoczywisty patronat I wojny światowej (na „owym roku piętnastym...” skupia naszą uwagę Bienek; także dla Niekrawietza rok 1914 to symboliczny kres powieściowych zdarzeń<sup>29</sup>), stanowiący dyskretne tło dziejowe obu omawianych relacji, każe spojrzeć na krwawe, domagające się wciąż nowych ofiar bóstwo fluwialne jako na swoistą okrutną alegorię (trwającej lub mającej za chwilę nadejść) powszechnej („zupełnie jak morze”), totalnej Zagłady. Żarłocznie zachłanne nurty rzeki z jednakową łatwością pochłaniają przecież nie tylko niewinne dzieci, dorosłych przychodzących z pomocą i obojętnie asystujących<sup>30</sup>, lecz także „zatopionych mieszkańców kretowisk i nor, w których konające istnienie już tylko bulgocze, mamrocze i (żałośnie) wzdycha”. Podobnie — bellumiczne fale Wielkiej Wojny z równą mocą zatapiają i likwidują przejawy tego, co jest, chciałoby być lub tylko trwa.

Powieściowa rzeka — w tekstach Bienka i Niekrawietza — jawi się jako wielka bogini śmierci, niczym apokaliptyczne „zwierzę, potworne, z tysiącem ramion i głów”, domaga się wciąż nowej niewinnej krwi. Dlatego też — przywołajmy jeszcze raz Niekrawietza — „całe [...] stworzenie ogarnia chęć ucieczki”. Bellumiczny żywioł rzeki szczególnie mocno i konsekwentnie eksponuje także Bienek: wszak nad brzegiem przygranicznej Dzikiej Kłodnicy ostatnich rozkoszy doznają młodzi rekruci — przyszli polegli wszelkich europejskich frontów<sup>31</sup>, w tajemnych nurtach Bytomki („rzeczki, która bierze się nie wiadomo skąd”<sup>32</sup>) ginie młodociana ofiara nazistowskiego samosądu, niewinny Hottek, zamordowany przez żarliwych adeptów gliwickiego Hitlerjugend<sup>33</sup>.

<sup>28</sup> Ibidem, s. 94—95.

<sup>29</sup> Por. J. Rostropowicz: *Postłowie*. W: H. Niekrawietz: *Wiatr od Odry...*, s. 327.

<sup>30</sup> Np. scena utonięcia Pumpana. Zob. H. Niekrawietz: *Wiatr od Odry...*, s. 260—261.

<sup>31</sup> Choćby sekwencje pomieszczone na stronach (41, 188—190) cytowanego wydania *Pierwszej polki*.

<sup>32</sup> H. Bienek: *Wrześniowe światło...*, s. 154.

<sup>33</sup> Na wagę tego epizodu — w prywatnej mitologii — zwraca uwagę autor *Ziemi i ognia* we wspomnieniowej relacji: „Wrażliwy chłopak, inny niż pozostali dziesięcioletni chłopcy, którzy złapali go nad Kłodnicą i potraktowali jak odmienca, jak obcego, jak »Polaka« — pozbawiają go życia (niechcący) w ten sposób, że napełniają mu kieszenie kamieniami i wypychają go do kanału — to mógłbym być ja, wtedy, w roku 1939”. Zob. H. Bienek: *Opis pewnej prowincji*. Przeł. B. Fac. Gdańsk

I dlatego też mieszczański świat górnośląskiego pogranicza, żyjący gorączką Wielkiej Wojny Światowej (przypomnijmy, że tetralogia gliwicka Bienka rozpoczyna się w noc poprzedzającą wybuch drugiego zbrojnego konfliktu), dbający skwapliwie o przetrwanie i zachowanie gatunku, pochłonięty owej Wojny „ciemnymi nurtami” i sprawami, zbyt łatwo odrzuca pamięć o czasach pokoju i równowagi, poszanowania życia i natury, o nieusuwalnej symbiozie wszelkich istnień<sup>34</sup>. W świecie Bienka wielką przeciwniczką topiącego świat, „wojennego bóstwa zniszczenia” jest Wodna Milka: ekscentryczna nimfa, ekomniszka, apostołka dobrego życia, zamieszkująca przyjaźnie rzeczny brzeg. W tej apologii nadrzecznej anachorezy buduje Bienek przeciwwzorzec dla męskiego świata pochłoniętego zabijaniem. „Woda” i „mleko” jej imienia (*Wasser-Milka*) stoją w krańcowej opozycji wobec maskulinicznych substancji symbolicznie definiujących pragnienie bezwzględного podboju: znaczonego od zawsze krwią i spermą. Wodna Milka to żeński żywioł płynnej energii, jednającej byty z sobą, godzącej sprzeczności i zapraszającej do permanentnego, niemal *jurodiwego* dialogu wszystkiego ze wszystkim, dialogu, dzięki któremu człowiek może komunikować się w uniesieniu z całym światem. Gdy

przechodziła przez rzekę, rozmawiała z nią i żartowała, ponieważ ją zaklinała i broniła [jej — M.J.], wypytywała i przysłuchiwała się, modliła się do niej i błogosławiła [ją — M.J.] [...] <sup>35</sup>.

Wodna Milka uosabia bowiem płynny macierzyński żywioł zgodnej ekumenii — zamieszkując w „baraku dla uchodźców nad Kłodnicą”, wybiera los odrzuconych i sponiewieranych. Żyjąc „na brzegu rzeki”, oddała się dyskretnie od ideologicznych pokus rozsiewanych przez wszelkich moralistów i demagogów epoki. Wiedzie niezrozumiały dla najbliższych (jak też postronnych ludzi) ekscentryczny żywot, który trzeba albo radykalnie odmienić, albo modliwie egzorcyzmować<sup>36</sup>.

---

1994, s. 72. Scenę dziecięcej egzekucji umieszcza Bienek w: *Wrześniowe światło...*, s. 189.

<sup>34</sup> Nieprzypadkowo scalony jeszcze i niepopękany „świat przedwojenny”, gdy „na brzegach rzek mieszkańcy opowiadali sobie o duchach gór i o wodnikach i kreślili krzyż na drzwiach swoich domów, by zło nie przenikało do środka” (por. H. Bienek: *Opis pewnej prowincji...*, s. 75), kończy i symbolicznie sumuje scena weselna — obraz upojnej biesiady...

<sup>35</sup> H. Bienek: *Pierwsza polka...*, s. 159—160.

<sup>36</sup> Prym w sprowadzaniu Milki na „dobrą drogę” wiedzie szwagierka Valeska i jej brat Willi Wondrak: „[...] wspólnie z bratem próbowała wszystkiego [...], starając

„Uboczność” jej egzystencji doskonale opisuje Nietzscheańska figura nautyczna. Jeśli bowiem zawarte w 289. aforyzmie *Wiedzy radosnej* Friedricha Nietzschego ponaglenie, skierowane do gnuśnych i „ryczałtowych” filozofów („*Na łodzie!*”<sup>37</sup>), potraktować także jako polecenie egzystencjalne, jako swoisty nakaz poszukiwania nowych dróg myślenia i wytyczania kolejnych etycznych zadań, to kryje się w nim także postulat nowej, aktywnej, ekstatycznej postawy życiowej. A taką postawę przyjmuje wspomniany tu protagonista Bienka — bytując zgodnie z dionizyjską dyrektywą, wedle której nawet „antypody mają swoje prawo istnienia”<sup>38</sup>.

Praktykować bowiem ekstatyczny *modus* życia, zadomowionego w ciele, beztroskiego — to uczynić doświadczenie „chybotałki” stanem osobniczego nastrojenia. Każdy, kto kiedykolwiek w życiu wsiadł do wywrotnego *canoe* i spłynął nim wartką rzeką, wie, iż sytuacja ta (obliczona na nieustanne „czytanie” znaków świata) wymaga hermeneutycznej uwagi, egzegetycznego skupienia oraz interpretacyjnej otwartości i „czystości”. Wedle Tadeusza Sławka, postawa taka skutecznie chroni przed niebezpieczną alienacją: „Oznacza ona [...] uwolnienie podmiotu: umysł czysty jest umysłem uwolnionym od charakterystycznej topografii *ego*”<sup>39</sup>. Rozlewne meandry rzeki (swoiście „sympatycznego” pisma Natury) zastępują tym samym zawsze niebezpieczne „topografie” ekspansywnego i pełnego pychy „ja”. Wodna Milka nawet w czasach wojennej zawieruchy wiedzie żywot ustronny i dyskretny, pchając wózek inwalidzki hrabiny Hohenlohe-Langwitz, abdykuje z rzeczywistości „ekspansywnego i pełnego pychy »ja«”, zatracą się w alkoholowym upojeniu, poetyckiej recytacji, lazaretowej służbie, w upartym milczeniu<sup>40</sup>...

się namówić Milkę, żeby przyjęła inną posadę albo wstąpiła do klasztoru [...]”. Gdy to zawiodło — Wondrak sprawił, iż przewieziono ją na przymusowe badanie do zakładu dla umysłowo chorych w Toszku. Zob. *ibidem*, s. 311. Pożądanego skutku nie wywołują także gorące modlitwy błagalne, zanoszone przez Valeskę do św. Nepomucena. Por. *ibidem*, s. 160.

<sup>37</sup> F. Nietzsche: *Wiedza radosna*. Przeł. L. Staff. Warszawa 1991, s. 233. Modyfikuję także na potrzeby wywodu pierwotne tłumaczenie inicjalnej frazy.

<sup>38</sup> *Ibidem*, s. 234.

<sup>39</sup> T. Sławek: *Ujmować. Henry David Thoreau i wspólnota świata*. Katowice 2009, s. 33.

<sup>40</sup> Por. zwłaszcza: H. Bienek: *Wrześniowe światło...*, s. 239—247; Idem: *Ziemia i ogień*. Przeł. M. Przybyłowska. Gliwice 1999, s. 51. Lub w profetycznym uniesieniu, wszak tylko ona, „patrząc w wodę, umie przepowiedzieć przyszłość”. Por. H. Bienek: *Opis pewnej prowincji...*, s. 26.